

Anna Czerwińska-Rydel

FOTEL CZASU

Anna Czerwińska-Rydel
Fotel czasu
Opowieść o Aleksandrze Fredrze

Tekst © Anna Czerwińska-Rydel
Tekst © Fundacja Rodu Szeptyckich
i Domu Komedii Aleksandra Fredry
Ilustracje © Dorota Łoskot-Cichocka
Fotografie © Fundacja Rodu Szeptyckich
Edycja © Wydawnictwo Literatura

Ilustracje:
Dorota Łoskot-Cichocka
Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I w Wydawnictwie Literatura
Łódź 2023

ISBN 978-83-8208-154-1

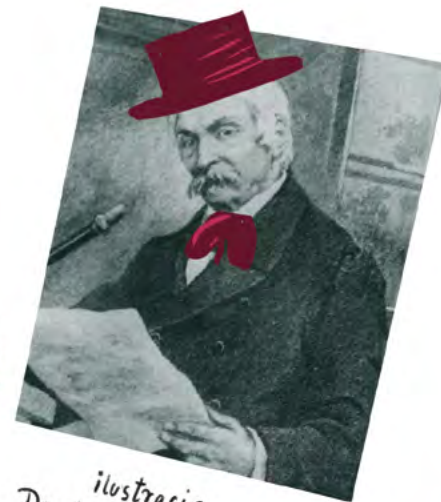
Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Anna Czerwińska-Rydel

FOTEL CZASU



LITERATURA

ilustracje
Dorota Łoskot-Cichocka

OPOWIEŚĆ
O ALEKSANDRZE
FREDRZE



Portret Aleksandra Fredry.

Razu jednego... kiedy w malignie zasnąłem,
wpadł mi palec w kałamarz... i pisać zacząłem.

Aleksander Fredro, *Pro memoria*

Angina

Jestem fakirem* i występuję w cyrku. Wokół areny siedzi pełno ludzi. Patrzą na mnie ze strachem i podziwem jednocześnie, a ja połykam ogień, potem gwoździe, a na końcu noże i sztylety. Rozlegają się oklaski, kłaniam się i nagle czuję, że coś potwornie pali i kłuje mnie w gardle. Próbuję to przełknąć, ale tkwi mocno, głęboko, i nie chce przejść.

To pewnie gwoździe – myślę i ogarnia mnie przerażenie. – A może nóż? Albo sztylet?! Wbił mi się w gardło! Co mam teraz zrobić?!

Zaczynam kaszleć, ale ten gwoździe czy nóż nadal nie chce wypaść. Słyszę szemranie publiczności: „On jest chory! Połknął gwoździe i noże. To niebezpieczne! To niebezpieczne! To grozi...”

Otwieram oczy. Jestem cały mokry, potwornie mi gorąco, a w gardle nadal siedzi ten nieszczęsny gwoździe, nóż czy może sztylet...

– Tak, to niebezpieczne dla maleństwa – słyszę przyciszony głos taty.

* Fakir – sztukmistrz, który występuje przed publicznością, potrafi wkładać do ust noże, chodzić boso po gwoździach, płomieniach.

Rozmawia pewnie z mamą, która jest w szpitalu. Wczoraj o czwartej rano urodziła mi braciszka. Nie powiem, żebym był jakoś specjalnie z tego powodu zadowolony. Mam swoje sprawy, kumpli, trenuję piłkę ręczną i hoduję patyczaki. Nie oszukujmy się, taki smarkacz będzie mi tylko wszystko komplikował. Zresztą już komplikuje. Rodzice zwariowali na jego punkcie. O niczym innym nie mówią, tylko o nim. O, teraz też. Nikogo nie obchodzi, że coś wbiło mi się w gardło, ciągle tylko słyszę: „maleństwo” i „maleństwo”.

– Olek, śpisz? – tata wchodzi do mojego pokoju.

Próbuję powiedzieć, że trudno spać w tych warunkach, ale to coś, co tkwi w moim gardle, tak mi przeszkadza, że wydobywam z siebie tylko jakieś nieokreślone „ghrrh”.

– Jesteś rozpalony. – Ojciec podaje mi termometr. – Zmierz temperaturę. Trzydzieści dziewięć i sześć... Zaraz dam ci coś na gorączkę. Pokaż gardło.

Próbuję powiedzieć tacie, że w nocy coś mi się tam wbiło, ale znowu wydobywa się ze mnie tylko charkot. Otwieram więc obolałą paszczę najszerzej jak mogę i czekam na werdykt.

– Angina... – obwieszcza mój tata chirurg. – Dam ci antybiotyk i zawiozę do babci Izi.

– Ghrrhrg?

Siadam na łóżku, próbując protestować, ale nic z tego. Rozpaczliwie macham rękami, gdy tata wychodzi z pokoju.

Fotel

Zawsze mi się wydawało, że choremu człowiekowi należą się szacunek i troska. Cóż... myliłem się. Od kiedy pojawiło się „maleństwo”, nikt się już ze mną nie liczy. Ważne, żeby „maleństwo” nie zaraziło się anginą! Ważne, żeby miało spokój. Ech. A ja?

Mnie trzeba wywalić do babci jak jakiś niepotrzebny grat. A właściwie do prababci, bo mój tata jest wnukiem babci Izi, a ja jej prawnukiem. Nie powiem, lubię ją. Jest uśmiechnięta, pysznie gotuje i podsuwa mi najlepsze kąski.



Normalnie tobym się cieszył, że mogę u niej być (pozwała mi na wszystko), ale teraz, kiedy to „maleństwo” się pojawiło, wolałbym być w domu i pilnować swojego pokoju, bo nie wiadomo, co takiemu przyjdzie do tej łysej głowy.

Tymczasem jedziemy z tatą samochodem. Wyglądam idiotycznie: mam dwa szale na szyi i czapkę, chociaż jest końcówka czerwca. Zsuwam czapkę prawie na oczy, jak gangster, a szalem zasłaniam usta i nos, żeby mnie nikt nie rozpoznał w tym przebraniu. Kumple mieliby o czym gadać, nie ma co.

Babcia już czeka, a gdy otwiera drzwi, uderza nas znajomy zapach drożdżowych bułeczek z rodzynekami. Tata je uwielbia i ciągle powtarza, że nikt na świecie nie piecze ich tak jak Bunia (tak mówi na prababcię), a mama z ponurą miną przyznaje mu rację. Kiedyś próbowała upiec te bułeczki, wzięła nawet od babci przepis. Ale chyba coś zrobiła nie tak, bo po wyjęciu z pieca były twarde jak kamień.



Od razu zastrzegłem, że nie będę tego jadł, bo nie lubię chodzić do dentysty, ale tacie widocznie smakowały, bo chwalił mamę i sięgał po kolejne. Bułeczki znikwały szybko, a ja z podziwem patrzyłem na zęby mojego ojca. Często mówi, że ma kły mocne jak wilk (dodaje, że dlatego, iż za młodu nie jadł tylu cukierków co ja).

Gdy z żalem stwierdziłem, że nigdy, przenigdy nie dotknę już żadnego cukierka, zauważyłem, że nasz Munio chrupie coś od niechcienia na swoim legowisku. Podeszedłem do niego i odkryłem, że psiak przeżuwa maminą bułeczkę. Chyba nie był zachwycony tym jedzeniem, bo minę miał dość nieszczęśliwą. Pogłaskałem go na pocieszenie. Rozumiałem go. Zamerdał ogonem, wstał, połasił się, a ja pod jego kocykiem zauważyłem jeszcze kilka nieruszonych bułeczek...

* * *

– Dobrze, że jesteście! – Babcia ściska nas mocno i przygląda mi się z bliska. Jej oczy są szarobłękitne, ciepłe i wesołe, dobre i mądre. Lubię w nie patrzeć. – Czekałam na ciebie, Aleksandrze – mówi jakoś tak poważnie. Chyba dziwnie wyglądam, bo prowadzi mnie do sypialni, gdzie czeka pościelone łóżko, biurko i ukochany fotel babci, na którym nie pozwalała nikomu siadać. Tylko kot Buni, Pan Jowialski, wyleguje się na nim czasem bez pytania...

„Na tym fotelu wasz prapraprapradziadek Aleksander Fredro obmyślał swoje dzieła – powtarza zawsze z dumą, a ja liczę, ile jest tych „pra”. – To ważny zabytek i cenna pamiątka”.

– Siadaj, Aleksandrze, o tu, na fotelu – mówi teraz, a ja zastanawiam się, czy się przypadkiem nie przesłyszałem.

Może to gorączka? – chwytam się za czoło.

– Lipa z malinami – babcia podaje mi kubek z herbatą. – Zaraz przebierzesz się w piżamę. Łóżko pościelone. Dlaczego stoisz?

– Bo... bo nigdy nam nie pozwalałaś siadać na tym fotelu, babciu – wciąż z trudem wydobywam z siebie głos.

– Angina to dobra okazja – uśmiecha się Bunia. – Poza tym mam pewien plan. Jesteś moim najstarszym i najmądrzejszym prawnukiem. Postanowiłam przekazać ci historię naszej rodziny, a przede wszystkim historię mojego pradziadka, a twojego prapraprapra... – babcia macha ręką – Aleksandra Fredry. Mam nadzieję, że będziemy się razem dobrze bawić – puszcza do mnie oko, a potem poklepuje poduszkę na oparciu fotela. – Siadaj. Jest naprawdę wygodny – uśmiecha się zagadkowo. – Ja idę robić kawę, bo twój tata właśnie połyka trzecią bułeczkę na sucho. Odpocznij sobie. – Wychodzi i zamyka drzwi.

Nie wiem, może powodem jest moja choroba, ale mam wrażenie, że prababcia Izia jest dziś jakaś dziwnie tajemnicza. Rozglądam się po pokoju. Z portretów wiszących na ścianach spoglądają na mnie poważni przodkowie, tylko Aleksander Fredro uśmiecha się pod wąsem.

Co mi tam maleństwo – myślę, patrząc na niego. – To JA pierwszy usiądę na fotelu słynnego przodka – śmieję się cicho, wyobrażając sobie biednego, niczego jeszcze nieświadomego dzidziusia, który nawet nie ma imienia.

Dotykam poręczy fotela. Jest niski, przysadzisty, obity ciemnozieloną tkaniną. Siedzisko ma tak szerokie, że mogłyby usiąść na nim nawet dwie szczupłe osoby. Teraz leży na nim Pan Jowialski, łypiąc na mnie podejrzliwie złotym okiem.

Po bokach i za oparciem fotela znajdują się czarne szczebelki w drewnianej ramie. Przesuwam po nich palcem

